Nr. 17 Rok 5 Kraków, dnia 23 kwietnia 1944. 40 gr.

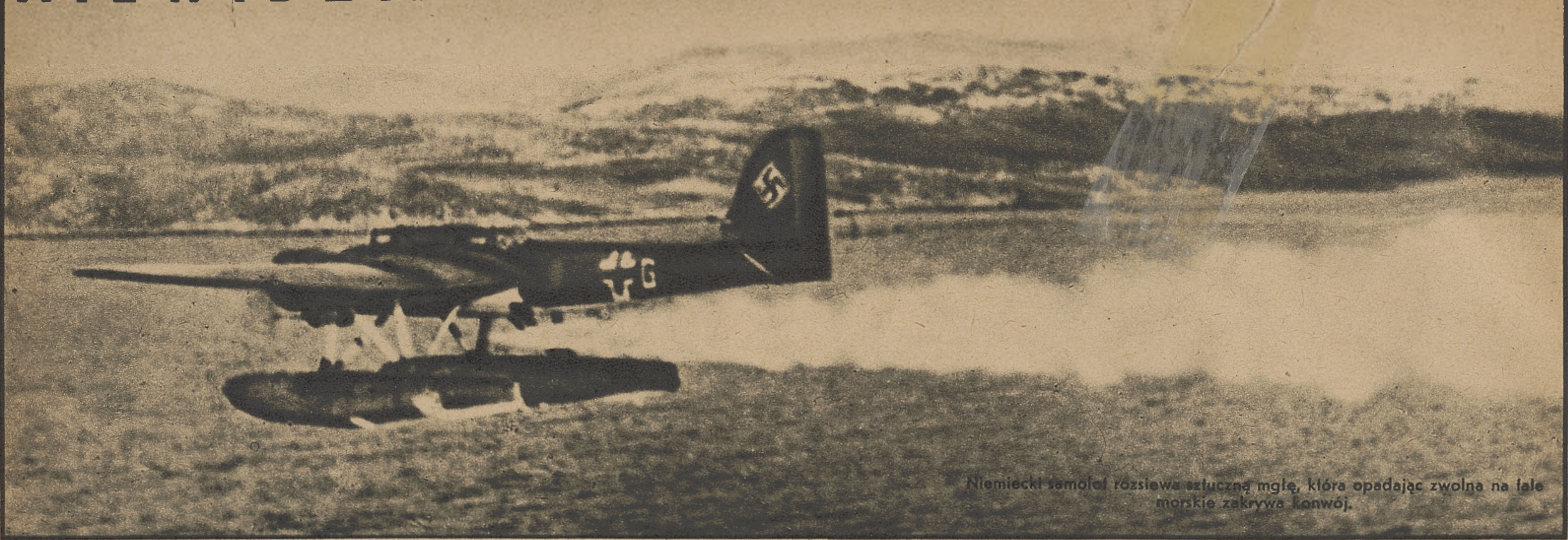
Ilustrowany Kurjer Polski



WARSZAWSKA PARA TANECZNA:
BARBARA BITTNERÓWNA
I JERZY KAPLIŃSKI
W OBRAZKU „PASTERECZKA"
(W NIEDZIELĘ WYSTĄPIĄ GOŚCINNIE W KRAKOWIE)

NIEWIDZIALNY KONWÓJ

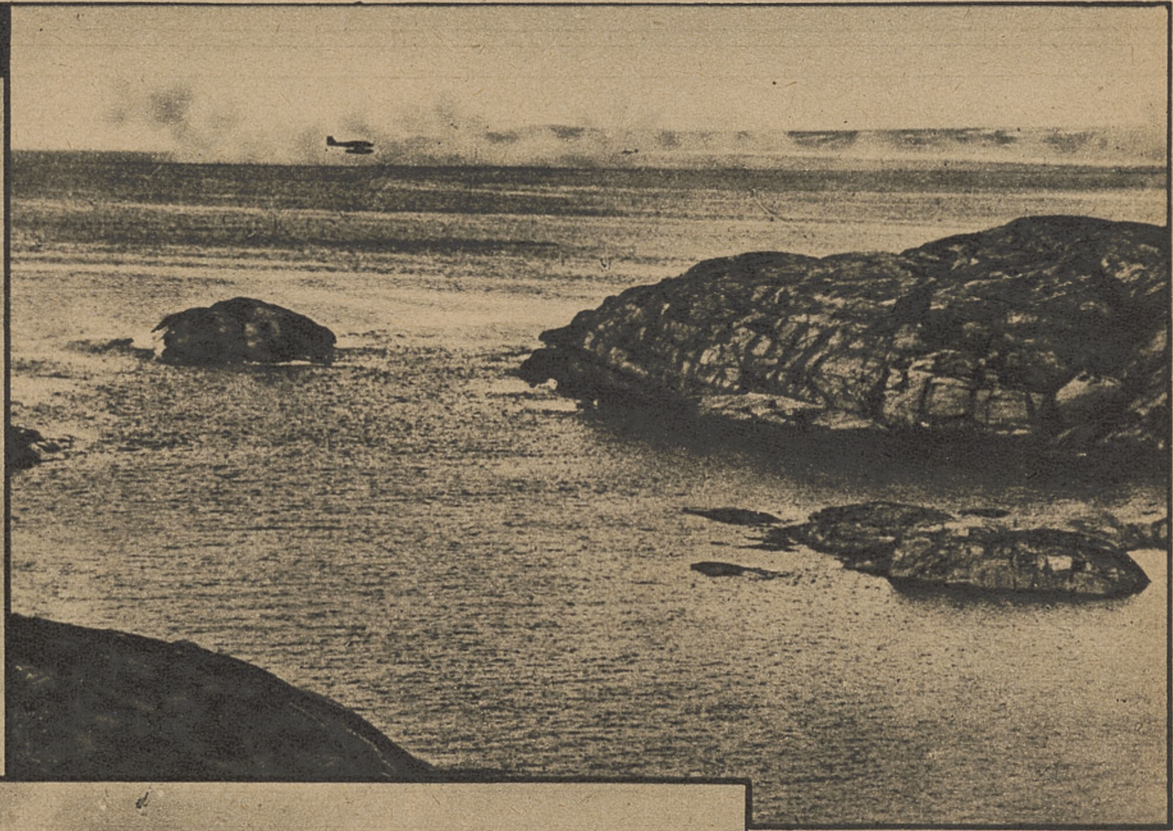
Fot: PK. Blume-PBZ 2, Moser-Atl. 2, Zwirner, Wolf-TO.



Niemiecki samolot rozsiewa sztuczną mgłę, która opadając zwolna na fale morskie zakrywa konwój.



Liczne pasma mgły snują się nad wodą, a spowite nimi okręty konwoju odbywają spokojnie i bezpiecznie swój kurs.

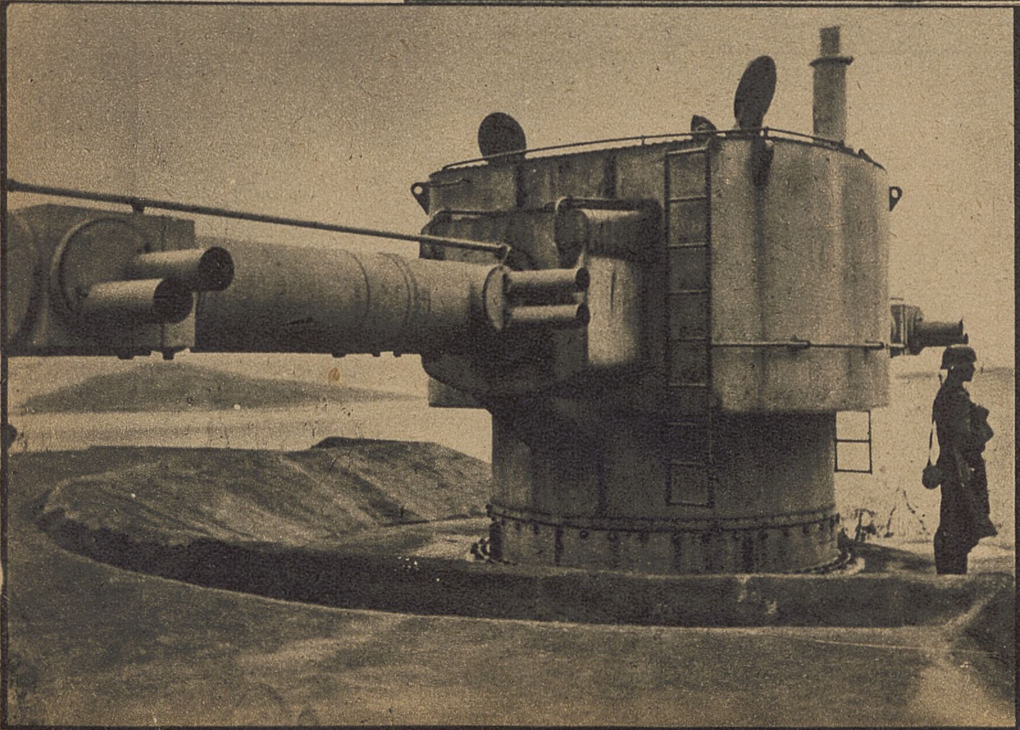


Powyżej:
Tuż nad powierzchnią wody krążą samoloty i osłaniają konwój gęstym pierścieniem mgły.



Na lewo:
Ostatni okręt konwoju znika już za gęstą zasłoną z mgły, która niby „czapka niewidka" zakrywa go przed okiem obserwatorów nieprzyjacielskich okrętów wojennych.

Poniżej:
NA WYBRZEŻU ATLANTYKU
Potężny dalmierz, ułatwiający celowanie ciężkim działom niemieckim.



Poniżej:
NA JEDNYM Z LOTNISK NA WSCHODZIE
Na północnym odcinku frontu wschodniego żołnierze oczyszczają nurkowce przysposabiając je do lotu na nieprzyjacielskie pozycje.



ARGENTYNA



Fot: Seiler



Argentyna jest krajem kontrastów. Rozciąga się ona w kierunku południkowym na 3600 km od okolic zwrotnikowych na północy kraju, do zimnej Ziemi Ognistej na południu. Ale nie tylko pod względem geograficznym, lecz także kulturalnym spotykają się tutaj dwa światy. Wielkie, szerokie ulice stolicy Buenos-Aires sprawiają wrażenie na wskróś nowoczesnego miasta, którego wygląd w niczym nie różni się od wielkich miast europejskich (zdjęcie powyżej). Olbrzymie zaś pampasy z licznymi stadami bydła i koni zachwycają Europejczyka swym egzotycznym wyglądem.

WCZORAJ I DZIŚ

Charakterystykę życia gospodarczego Argentyny można zamknąć w dwóch słowach: rolnictwo i hodowla. W ścisłym związku z rolnictwem i hodowlą zostaje pomyślnie i dość wszechstronnie rozwijający się przemysł argentyński. Ludność jest przeważnie pochodzenia hiszpańskiego i włoskiego. Typowym przedstawicielem ludności Argentyny jest gaucho, pasterz koni i bydła (zdjęcie powyżej na lewo). Niektórzy gauchos dochodzą do mistrzostwa w rzucaniu sznura z uwiązanymi na nim trzema kulami, tak zwanego bolas, przy pomocy którego mogą schwytać każdą sztukę bydła ze stada, nie raniąc jej wcale.

Argentyna leży nad brzegami Oceanu Atlantyckiego; dlatego też i rybołóstwo stanowi tu dość poważną gałąź gospodarczą. Ale sposoby połowu ryb i kształty łodzi rybackich są dziś takie same, jak przed setkami lat. Po ukończonym połowie ryb, jak to widzimy na zdjęciu, ciągną konie sieci rybackie do wsi, by wzburzone fale nie zabrały ich z sobą.



Sieć kolejowa najgęściej pokrywa najbliższe okolice Buenos-Aires, rzednąc w miarę oddalania się od miasta i służy przede wszystkim gospodarczym potrzebom kraju. Stolica Argentyny posiada nawet kolej podziemną wyposażoną w najbardziej nowoczesne urządzenia.



O rozlicznych rodzajach farm czyli zagród hodowlanych słyszeliśmy już przecie wszyscy. Znamy z opisów czy opowiadań, a może sami oglądaliśmy farmy bydła, trzody chlewnej, zwierząt futerkowych czy ptactwa. Zapoznajmy się tym razem z farmą węży.

Czy nie ładnie prezentują się na zgrabnej kobiecej nóżce lśniące pantofelki z . . . wężowej skórki albo także torebka pięknej pani?

Grymas — powie ten i ów.

Hm, zależy jak kto na to patrzy. Zapewne, bucik to delikatny, i nie przeznaczony do codziennego użytku. Takich atoli „grymasów" jest na świecie mnóstwo . . .

A poza tym, nie hoduje się na wężowych farmach specjalnie tylko dlatego te gady, by zdzierać z nich skóry na obuwie damskie i torebki, ale by mieć z nich daleko ważniejszy użytek, będący właśnie celem hodowli. Chodzi tu o jad wężowy, używany do wyrobu szczepionek, chroniących przed śmiertelnym działaniem ukąszeń czołgających się bestyj.

Znana na całym świecie „wężowa farma" Butantan obok Sao-Paulo w Brazylii dostarcza też rok rocznie różnym instytutom i szpitalom wężowego serum, wyprodukowanego w swych laboratoriach a jakże poszu-



Fot: Bittner

NA FARMIE

U góry:
Trzeba odrzucić chwilowo węża, od którego niedawno pobrano jad, bo dałby go tym razem zbyt mało, jak to określa przepis zabiegu „exploatacyjnego". Niech się prześpi w „domu" do jutra...

Szczególnie „mocne" w truciznę i duże osobniki zostają powierzone trosce „opiekuna", oglądającego na swój sposób swą „trzódkę" sztuka po sztuce . . .

WĘŻÓW

Na lewo:
Cały dzień w kółko z wężami — brrr, cóż za obrzydliwe zajęcie! O, tak źle nie jest. Na odmianę opieka rozciąga się też na niesłychanie jadowitą ropuchę, którą wziąć w rękę dla otrzymania od niej trucizny, też trzeba umieć . . .

kiwanego i cenionego na wagę złota w krajach zwłaszcza tropikalnych, gdzie plaga jadowitych wężów tak bardzo daje się we znaki mieszkańcom. W kopulastych budowlach przypominających olbrzymie kretowiska z bramami wejściowymi „mieszkają" sobie węże, by po wyeksploatowaniu z nich jadu ustąpić miejsca świeżym transportom syczącego towaru. Węży nie karmi się, ale giną powoli z głodu, bo jest ich aż nadto w Brazylii chyba, a byłoby nonsensem żywić jeszcze zdradziecki ród gadzi. By wydostać jad z gruczołów szczękowych wijącego się pupila, „opiekun" znanym sobie a błyskawicznym chwytem poniżej łba gadu ma go „do dyspozycji", zmuszając węża następnie do ugryzienia . . . grubego naczynia szklanego, trzymanego w drugiej ręce, do którego spływa z paszczęki trucizna.



Obok w kole:
Co tydzień z różnych stron Brazylii nadchodzą samochodowe i kolejowe przesyłki zawierające jadowite węże. Skrzynki takie kierowane na farmę Butantan koło Sao-Paulo zaopatrzone są w objaśniające napisy co do gatunku i ilości umieszczonych wewnątrz gadów.



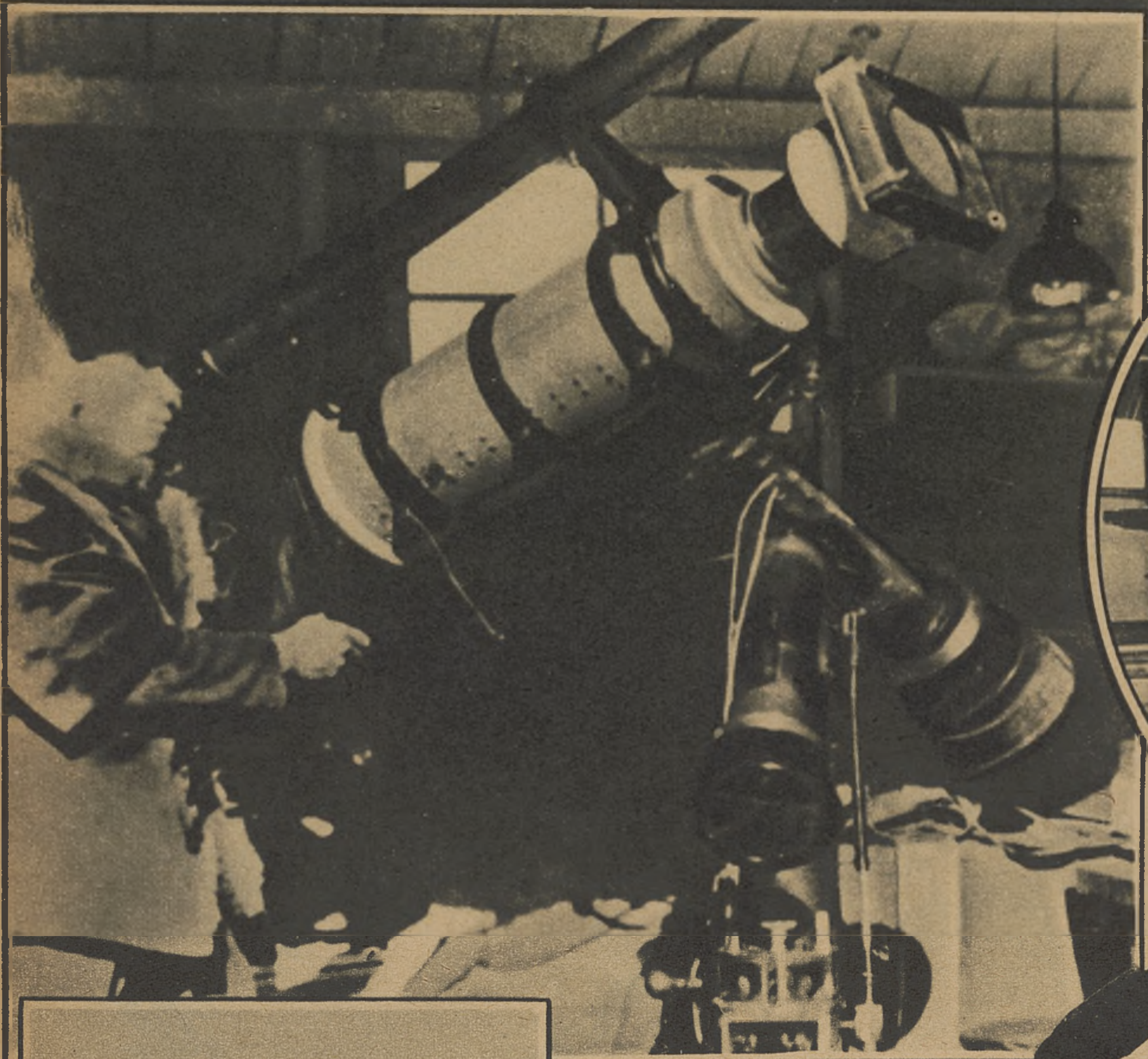
Powyżej:
Naczynie szklane poddane zostało właśnie „ukąszeniu" węża. Jad spływa do wnętrza, by spełnić wkrótce rolę zbawczego serum.

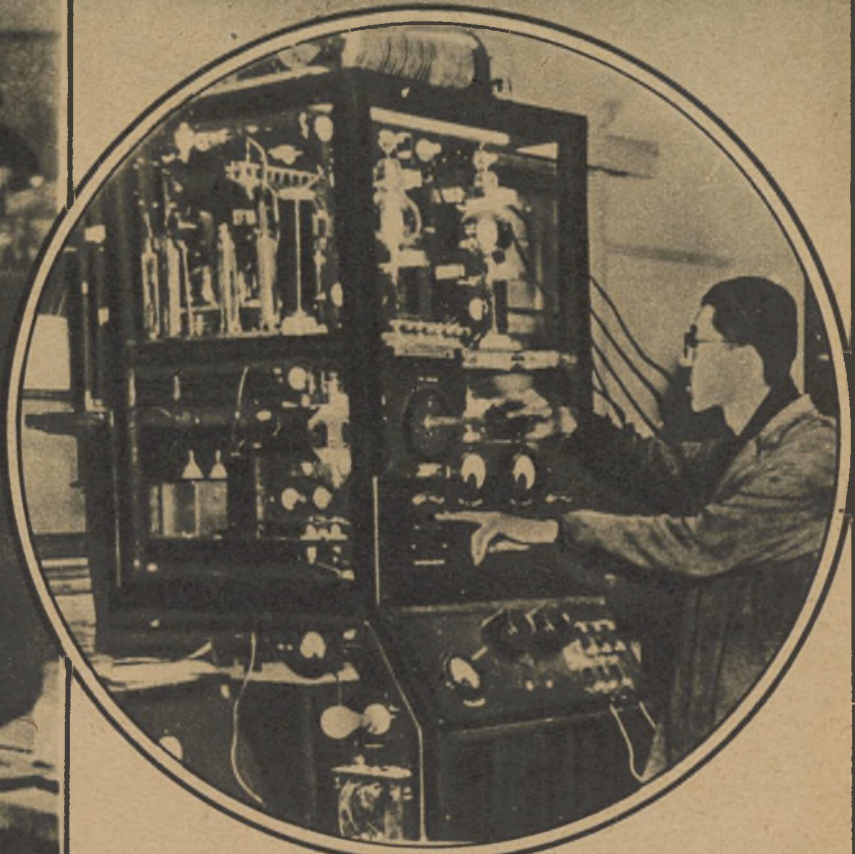


W całym świecie słynie „hodowla" wężów na farmie tej specjalności poświęconej w Brazylii. Dozorca „faworytów" na oczach obserwatorów zabierze się za chwilę do pobierania jadu.

Gdy słońce zgaśnie







Powyżej i na lewo:
Wśród wielu sprzętów, które służą do obserwowania zaćmienia słońca do najważniejszych należy luneta i przyrząd do mierzenia wpływu zaćmienia słońca na wyładowania elektryczne.

Fot: Atlantik



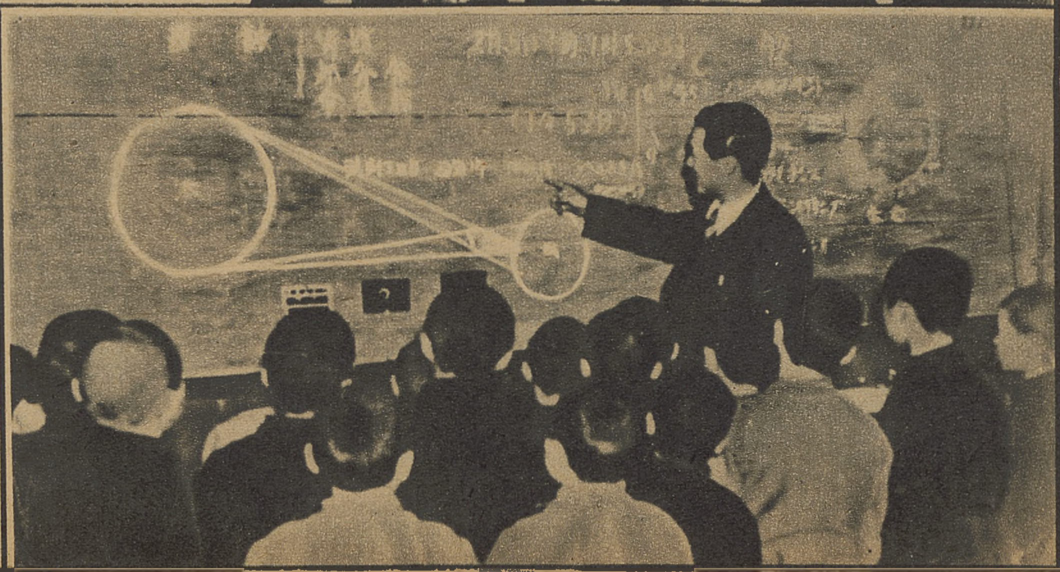
ASTRONOMICZNA EKSPED. NAUKOWA W KUSHIRO

Zaćmienie słońca, zwłaszcza całkowite jest zawsze jedną z sensacji świata, i ze wszystkich zjawisk niebieskich wywiera ono na ludzi największe, niezapomniane na życie całe wrażenie. Dla astronomów stanowi ono okres gorączkowych przygotowań i wytężającej pracy naukowej. Już na kilka tygodni, a nawet miesięcy przed zapowiedzianym zaćmieniem słońca wyruszają całe ekspedycje naukowe, wyposażone w ostatnie zdobycze techniki, na miejsca najlepiej nadające się do obserwacji ciekawego zjawiska, by przeprowadzić różne pomiary astronomiczne, dokonać całego szeregu zdjęć filmowych i fotograficznych. Ostatnie całkowite zaćmienie słońca było widoczne jedynie w krajach azjatyckich. Japończycy nie omieszkali wykorzystać pod względem naukowym tego zjawiska natury, wyprawiając na Obetsu koło Kushiro ekspedycję naukową, w skład której wchodzili uczeni różnych fakultetów, a przede wszystkim astronomowie, operatorzy filmowi i fotografowie. Prace tych uczonych przyczyniły się w znacznej mierze do wyświetlenia fizycznej budowy słońca. Za główne zadanie postawiła sobie bowiem ekspedycja zbadanie protuberancji widocznych w czasie zaćmienia, oraz odchylenia promieni świetlnych w pobliżu słońca.

Małe miasteczko japońskie Kushiro przeżyło w czasie zaćmienia słońca swe wielkie dni. W szkołach wydarzenie to obserwowano przez lunety i omawiano na lekcjach wśród dużego zainteresowania uczniów. Na ulicach zbierały się gromady ludzi (zdjęcie na prawo), by obserwować przez okopcone szkła spotkanie Heliosa z panią Luną; a gdy nastała nagła noc wśród białego dnia, umilkło strwożone ptactwo śpiewające, a kruki zaskoczone nagłą ciemnością trzepotały się bezradne w powietrzu (zdjęcie na lewo).



Na zdjęciu zamieszczonym u góry możemy obserwować kolejno od ręki prawej ku lewej całkowity przebieg zaćmienia słońca. W świetlany krąg słońca wrzyna się czarna jak węgiel tarcza księżyca, posuwa się ona wyraźnie coraz bardziej, zasłaniając naszą gwiazdę dzienną, aż ją wreszcie całkowicie pochłonie. Dokoła czarnej tarczy księżyca zauważyć się daje jasna perłowo-biała aureola, na której tle wystrzelają długie snopy płomieni niby jakieś olbrzymie fajewerki. Świetlana owa aureola nosi nazwę korony. Powstanie jej i istota do dziś jeszcze nie są całkowicie wyjaśnione. Stanowi ona jakby olbrzymią atmosferę nadzwyczaj rozrzedzoną.



Zagadka

napisała Marianna

3 ciąg dalszy

Rzucił okiem na skrypt. Roiło się od fachowych, ściśle naukowych wyrażeń: „reakcja pośrednia", „kompleks...", „uraz"... Zorientował się, że autor, czy autorka stara się przedstawić niejednolitość i nieprzeciętność umysłów ludzi utalentowanych w reagowaniu na rozmaite sytuacje, okoliczności życia codziennego; rodzinnego i towarzyskiego — a wszystko opierając się na szczegółowych obserwacjach własnych.

Iwonka...? Więc nie były szczere i bezpośrednie jej spojrzenia — były badawczymi, szpiegującymi go... To nie był kaprys, ani żart z jej strony, to było właśnie — mówiąc naukowym językiem skryptu — „zainscenizowanie sytuacji, w której umysł nieprzeciętny sławnego pisarza mógł wykazać bezpośrednią reakcję na czynniki na nią się składające..."

Był więc przedmiotem drobiazgowych studiów psychologicznych. Dokładna analiza jego psyche, jej odczuć i wrażeń, będzie bawiła szerokie grono czytelników, lub tematem będzie naukowego odczytu... Oto — co absorbowało młodą kobietę, gdy wprowadzała go za fałszywym pretekstem do swego mieszkania, gdy „robiła nastrój" rozpalając kominek! Oto Iwonka — oto jej dziecinne, łobuzerskie uśmiechy!...

Przejrzał ją. Dowody miał w ręku... I ucieszył się, że znaleziony rękopis nigdy nie wróci do jej rąk, że będzie musiała pisać od początku, raz jeszcze, wiekopomne swe dzieło o psychice sławnych ludzi. Zacisnął zęby w bezsilnej pasji przypominając sobie, że materiał o nowym przedmiocie swoich obserwacji, o Brunonie, nosi przy sobie w maleńkiej swojej złotej główce i nie omieszka sięgnąć tam po garść ciekawych spostrzeżeń do swojej rozprawki...

Uprzytomnił sobie, że mija właśnie czas spotkania się z detektywem Wiolińskim w „Esplanadzie". Ach! Prawda? Co miały znaczyć te jego bezowocne czaty przy wejściu do jednej z kamienic przy Alejach? Ten osobnik nie był potrzebny w farsie, którą tam zainscenizowano... Jakaż była jego rola? Skąd wziął się tam w ogóle?

Wioliński siedział już na stołku przy barze, wyświeżony i wypoczęty po nieprzespanej nocy. Zapomnienia o niekorzystnych poczynaniach tej nocy szukał właśnie w głębokich i pełnych kieliszkach alkoholu — na rachunek oczywiście inicjatora dzisiejszego śniadanka.

— Nie chcę zbyt przemęczać pana — powiedział Bruno gdy potrawy zostały już zamówione — interesuje mnie tylko z czyjego to polecenia działał pan, a raczej: czuwał przed mieszkaniem państwa Wichertów i co spodziewał się pan tam zauważyć?

— Właściwie, to nie działałem z niczyjego polecenia, tylko z własnej, żywiołowej inicjatywy, proszę pana...

— Więc to nie Karol Wichert? To nie on zaangażował pana na to nocne czuwanie?

— Nie! Bezpośrednio, nie. Może przed kwartałem, zjawił się rzeczywiście u naszego inspektora Wichert. Był wzburzony, zwierzył się inspektorowi, jakie ma podejrzenia względem swej małżonki, że tym razem ma tego dość a żona udaje krzywdzone niewiniątko, tuszuje wszystko zgrabnie i ładnie. Wichert kategorycznie chce rozwodu i to z winy żony...

— Co pan mówi?!? On chce teraz rozwodu?! Przecież tyle czasu wszystko tolerował!...

— Wichert chce rozwodu. Mówił także, że nie zdaje sobie jeszcze jasno sprawy, o kogo chodzi tym razem, ale ma już pewne poszlaki. Upewnił się, czy w danym wypadku inspektor miałby dla niego kogoś z nas, inteligentnego, pewnego, który by dyskretnie i zręcznie sprawę pokierował na korzyść klienta — to znaczy: dostarczył mężowi wystarczających dowodów wiarołomności pięknej żony. Wie pan, śmieliśmy się z niego, gdy wyszedł: Po co mu jeszcze dowodów, jak całe miasto o tym mówi: Przedtem był malarz, potem ta cała historia z włoskim tenorem Sabasti, który stoczył się na dno, zmarnował zupełnie dla tej kobiety i jej przelotnego kaprysu... Wtedy też jednocześnie mówiono o Brunonie i właściwie nie przestano jeszcze mówić o obydwóch. Podobno jeden o drugim nawzajem niedużo wiedzą i, że dojdzie do okropnej historii, gdy poznacie się jako rywale... Proszę pana?...

— Co? Słucham?... — Bruno ocknął się z zamyślenia.

— Niech pan powie, przecież to prawda, co mówili? I pan także zachodził tak bardzo, bardzo często do pani Eweliny Wichertowej?

— Jest pan za mało dyskretny i delikatny jak na detektywa. Gdyby tak było naprawdę, złapałby mnie pan wczoraj na pierwszym piętrze a nie wyżej. Powinienem teraz wyzwać pana na pojedynek, za zniesławienie kobiety: Bo to co tłumaczy słabość pięknej pani do sławnego malarza, czy cudzoziemskiego tenora, nie wyjaśniałoby zupełnie jej flirtu z podrzędnym pisarzem i szarym człowiekiem, jakim ja jestem?...

— Pan żartuje!... Pan jest strasznie skromny.. Przecież nie ustępuje pan w niczym tamtym panom... A tyle na mieście słyszało się o was... Łączono wasze nazwiska...

— Nic podobnego. Powtarzam, że robili krzywdę pani Wichertowej tymi podejrzeniami. To wszystko dlatego, że dość często zaglądałem piętro wyżej do jednej pięknej osóbki... Panie Wioliński... a o tym śpiewaku... jak pan mówił... to prawda? — zmarszczył się. Urażona ambicja nie mogła dać wiary i nie mogła zrozumieć, że Ewelina go zdradza, a on tego nie zdemaskował od razu.

— Pewnie, że prawda. To jest tenor miejscowej opery. Zaczęło się od bankietu po premierze na który zaproszono również Wichertów. Od tego czasu śpiewak często bywał u nich, jakieś spacery . . . Dużo zresztą, może nawet więcej niż jest, rozgaduje Sabasti sam po mieście wśrod aktorów, znajomych. Mówią, jakoby miał być zazdrosny i to o pana, panie Bruno, w pierwszym rzędzie o pana, którego Wichertowa nie pozbawiła wszystkich jeszcze łask.. Nie znam go osobiście, ale mówią także, że....

— Panie Wioliński — przerwał Bruno dość mając drażniących go plotek i bezmyślnej paplaniny towarzysza — siedzimy tu już pół godziny a nie dowiedziałem sie jeszcze, skąd pan się wziął wczoraj przed drzwiami Wichertów i czego pan tam szukał?

— Widzi pan... Jak Wichert wtedy poszedł, inspektor zaczął się zastanawiać, którego z nas w razie czego polecić zdradzanemu mężowi. Wiedzieliśmy, że za szczęśliwe załatwienie drażliwej kwestii, klient ten nie będzie skąpił forsy. Ma przecież na to, znany bankier, bogacz... a taki rozwód z winy żony, gdy się ma na tę wolność ochotę z innych względów jeszcze, to przecież czysty interes, no nie? Inspektor na razie nie wybrał żadnego z nas, ale polecił wszystkim szperać na własną rękę w wolnej chwili, żeby, gdy okaże się potrzeba, materiał obciążający był gotow i klient prędko i zręcznie obsłużony. I ja też kręciłem się blisko pani Wichertowej. Szedłem za nią na ulicach, czekałem, gdy była u modystki, albo składała wizyty. I ciekawe, że ostatnio ten Włoch Sabasti całkiem musiał widać być w niełaskach, bo go nawet nie poznałem... Natomiast doszedłem do wniosku, że jednak pan...

— Ach! Cóż za krótkowzroczność („Boże, wypieram się, jak sztubak niemądrego i nieudanego figla!...") jestem przyjacielem domu, towarzyszem zabaw dzieciństwa pani Eweliny, nic poza tym!... Ale wracając do rzeczy: jak to było wczoraj?

— To znowu inna historia. W ten dzień zadzwonił Wichert i powiedział, że w najbliższym czasie będzie znów u inspektora z ostatecznymi poleceniami we wiadomej sprawie. Czuliśmy się wszyscy, jak konie na starcie: Tylko nas spytać... a dostarczymy na żer sensacji moc ciekawostek o życiu pięknej pani i moglibyśmy się przelicytowywać, kto dostarczy więcej i to dowodów w solidnym gatunku... A po południu przyszła do mnie znajoma... Raczej dziewczyna, w której beznadziejnie się kocham...

— Czy to należy do tematu?

— Naturalnie! Przede wszystkim to. Wszystko przez tę dziewczynę. To ona zakpiła ze mnie. Ona wiedziała, że nie do Wichertowej idzie pan na Aleje, a mnie zapewniała, że właśnie złapię was oboje ..

— Skądże, na Boga, mogła mieć pewność, że ja nie idę do Wichertowej...? — chciał dodać: „...jeżeli ja sam wchodząc do bramy przy Alejach tego nie przypuszczałem, przewidzieć nawet nie mogłem?..."

— Nie wiem. Musiała coś wyśledzić. Ona ma większe ode mnie zdolności detektywistyczne, choć swego czasu uczyła się u mnie logicznego wyprowadzania prawidłowego wniosku z najprostszych wydarzeń... Może znała tę panią, którą pan odwiedzał? Może jakoś sama pokierowała całą tą sprawą?

Bruno nadstawił uszu.

— Nie rozumiem!?...

— Ja też nie rozumiałem. Wiem tylko, że była to zemsta z jej strony. Za to, że zadręczałem ją swoją miłością narzucałem się obecnością, krzywdziłem zazdrością. I wszystko było na nic, proszę pana, bo jak kobieta nie kocha naprawdę i raz powie: „nie", to już przepadło i nic nie pomoże. Ona miała mnie dość, kpiła z mojej pewności siebie i zarozumiałości. Mówiła, że mi jeszcze dowiedzie, że jestem bezgranicznie głupi i, że żadnej kariery w zawodzie szpicla (tak się wyraziła) nie zrobię. No i pokierowała tak wszystko, żeby mnie ośmieszyć, dać nauczkę, że nie należy być pyszałkiem i zanadto ufnym w swoje siły... Bo, proszę pana, ja byłem niepoprawny. Wykorzystywałem swoje zdolności agenta policyjnego, gdy chodziło o taką rzecz, jak wyśledzenie, gdzie mieszka, dokąd i kiedy wychodzi... Z kim wraca i kogo przyjmuje. Węszyłem, jak pies... awanturowałem się, jak bandyta. Opętała mnie myśl o zdobyciu jej... bo zapomniałem, że czasem kobiety mogą być nie do zdobycia... Wie pan, uciekała przede mną, gdy mnie widziała, ale i tak dokładnie wiedziałem o każdym jej kroku. Kilka razy zmieniała mieszkanie, bym zgubił jej ślad. Nieraz płakała przeze mnie, bo robiłem burdy przed jej drzwiami, gdy ktoś dyskretnie chciał tam się dostać... Tak! Niemiłą i ze wszech miar niewygodną jest miłość detektywa i sposoby jakich się ima, gdy jest zazdrosny... I oto jej zemsta! Wyrafinowana, z premedytacją...

Bruno spojrzał na opowiadającego z napięciem uwagi. — Jakto, czyżby to był istotny powód wczorajszych wydarzeń?... On miałby być tylko podrzędnym w nich aktorem, a głównie dziewczynie chodziło o wypłatanie pensjonarskiego figla odrzuconemu i znienawidzonemu adoratorowi?...

...Czyżby nowe oblicze małej, słodkiej Iwonki? Nowe rozwikłanie zagadki?... Więc nie wyrachowanie — bo pieniądze zwróciła, nie mania obserwacji i naukowych analiz (maszynopis mógł być nie jej, albo przypadkowo dostała go do rąk) ale — — — po prostu psota, zabawa... Tylko to?

Przypomniał sobie: przecież sama mu to powiedziała wtedy wieczorem. Wyraźnie zaakcentowała: — „mnie to bawi... ten detektyw jest moim znajomym..."

Nie może być wątpliwości co do tego!

— Jakże wygląda ten pana ideał, panie Wioliński? — Bruno opanowywał się, by rozmownego detektywa nie chwycić za kołnierz i nie wytrzepać z niego formalnie wszystkich interesujących go szczegółów o dziewczynie, o nierozwiązalnej dla niego zagadce. Silił się udawać obojętnego, pełnego towarzyskiego czaru — może blondynka?

— Ach blondynka, cudowna złota blondynka! A oczy... panie, ach!... nie mówmy o tym...

— Niech pan przestanie wzdychać, bo zdmuchniesz pan mi te sardynki... Ale jakiż właściwie był udział dziewczyny w tej historii?

— Ach! Dałem się złapać, jak jakiś pierwszy lepszy... A powinienem był wiedzieć, że ona zechce się zemścić... Okpiła mnie...

— Więc, co? Niechże pan się streszcza!...

— Przyszła do mnie, gdy miałem służbę. Uśmiechnięta, śliczna, łaskawa jakaś dla mnie. Pyta mnie wręcz: — „Chcesz mieć dowód dla Wicherta? Ale taki żelazo-beton, pierwszorzędny, ciężkiej wagi? Opłaci ci się. Wichert zapłaci i ułatwi awans na pewno!—" Czyż mogłem się oprzeć... i nęcącej propozycji i jej oczom? — „Dziś Bruno będzie u Wichertowej, przychodzi zawsze o ósmej, ma swój klucz" — To nie było do pogardzenia! To już znaczyło coś! W każdym razie dla mnie okrągłą sumkę na papierosy i kilka nowych krawatów a także i coś ze sławy z chwilą, gdyby sprawę rozbazgrały dzienniki. Nazwisko Brunona w procesie rozwodowym Wichertów byłoby wielką sensacją. Ale coś mi się to wydawało jednak od razu niewyraźne: Pytam, skąd pomysł przyjścia z tym właśnie do mnie? — „Nie chcę przecież, byś do końca życia był dziadem i zwyczajnym, nieznanym detektywem!" — Jej oczy w tej chwili!...

— Panie — pytanie to czaiło się w podświadomości Brunona już dawno, jako najważniejsze, rzecz najbardziej istotna, jakiej chciał dowiedzieć się od Wiolińskiego — czy pan zna adres tej swojej damy?

— Jakże mógłbym nie znać?...

— A mógłby pan mnie go podać?

— W żadnym wypadku!!! I tak za dużo ludzi go zna! Szalona dziewczyna! Przede mną się kryje a innym adres podaje!... Nie powiem ani jej nazwiska, ani... Po co to panu? Pan jej przecież nie zna!? Ma pan chyba dość znajomości i obiektów zainteresowania nie wyliczając głośno nazwisk i imion...

— Ale panie — Bruno naprawdę zląkł się zmienionej, wściekłej twarzy Wiolińskiego — pańska miłość i zazdrość przeradza się w jakąś anomalię! Niechże się pan uspokoi! Nie myślę poznawać ani uwodzić pańskiej znajomej! Rzuciłem tylko, ot tak, to pytanie o jej adres... Znałem kiedyś podobnie dowcipną panienkę i myślałem, że może to ta sama...

Ale i ten wybieg niewiele pomógł. Wioliński postanowił widać święcie pod żadnym pozorem nie wyjawić adresu swojej ubóstwianej i nawet mówić już nie chciał na ten temat. Udobruchał się trochę, gdy Bruno zaczął opowiadać dowcipy i zamówił nową „kolejkę" w barze.

Dał za wygraną. Trudno. Żadna siła, ani tym mniej żadna dyplomacja, nie wyciągnie z detektywa sekretu. Więc nadzieja ponownego ujrzenia Iwonki, spotkania się z nią kiedykolwiek — przemija niewyzyskana. Czyż jednak na pewno o niej opowiadał detektyw? Kwestię rozstrzygnęłoby po prostu pytanie Brunona, czy tamta nosi imię Iwonki — ale jeżeli tak jest rzeczywiście... sprowokuje nieświadomie Wiolinskiego do jakichś może niepoczytalnych już reakcyj, insynuacyj, których nie będzie miał czym zwalczyć. Co powie Wiolińskiemu na pytanie, skąd Brunon zna to imię i jego właścicielkę? Opisać całą historię, to znaczy przyznać się agentowi policji do winy względem Wicherta, poza tym samo odmalowanie niezaprzeczalnego „sam na sam" z ową dziewczyną, mogłoby wrażliwego detektywa przyprowadzić do ostrzejszych wybuchów!...

— Miałem szczery zamiar wziąć Wicherta na te łowy i o przypuszczalnym ich korzystnym rezultacie uprzedzić, ale było późno, tuż przed ósmą i w biurze dano mi znać, że w domu także go nie ma, bo siedzi w Myślenicach na jakiejś konferencji, czy inspekcji... Myślałem, że byłoby o wiele efektowniej pokazać mu to, co przypuszczał zaledwie i powiedzieć: „voila" i szczerze żałowałem... Ale dziś, gdy sobie wyobrażam, że mógłby być świadkiem mojego blamażu, że widziałby pana wychodzącego z drzwi piętro wyżej, gdy on sobie umyślił złapać pana, gdy będziesz wychodzić z jego własnych... gratuluję sobie, że tak właśnie się stało... I to stanie przed kamienicą było przykre. Stałem w kompletnej ciemności, na przenikliwym wietrze, coś ze trzy godziny. Wszedłem potem do sieni za jakimś spóźnionym lokatorem. Nie miałem klucza do kamienicy, a stróżowi nie chciałem przecież opowiadać całej historii...

Myśli Brunona były w tej chwili daleko. Podziwiał zapał i niestrudzoność kobiet, które dla tak błahej, nieważnej sprawy, tyle są zdolne wywołać ruchu, zmian, komplikacji Dla zatriumfowania nad niemiłym konkurentem, zadała sobie tyle trudu, by podrabiać list Eweliny (skąd wiedziała?...), zwodzić go pozorami konieczności sytuacji, którą sama stworzyła, wynajmować specjalnie na tych kilka godzin mieszkanie, stawiać kolację, przymuszać się, by być wesołą i miłą dla osoby obcej i nic jej nieobchodzącej...

I jego, Brunona rola w jej całej dziecinadzie? Rola pionka potrącanego, w takim kierunku, by dogadzała wyskokom rozbawionej panienki...

Iwonka wydała mu się jeszcze mniej sympatyczna . . . Jako kobieta pozwalająca się emablować i prześladować przez takiego detektywa o minie nosorożca, a oczach ryby — wzbudzałaby litość przez sam komizm okoliczności. Ale, gdy wysila się na dokuczanie temu zakochanemu młodzieńcowi i do tych figlów miesza Brunona, nie spytawszy o zgodę na współdziałanie, — godna jest bezapelacyjnego potępienia...

...Więc nic szczerego nie było w jej do niego uśmiechu — — — bo w tej samej chwili zacierała ręce, wyobrażając sobie zawiedzioną twarz detektywa, myśląc z uciechą o tym, jak bezcelowo marznie na wichrze, o tym, że tak sprytnie, piekielnie go podeszła...

— Widzi pan tego bladego faceta, tam przy oknie? Ale pije nieborak bez opamiętania. Wczoraj też musiał mieć dobrze w czubie... Od razu mnie teraz tknęło, że to znajoma twarz. Pokazuję ją panu dlatego, że to mój kompan wczorajszy. Razem chodziliśmy

WIOSNA I TY!...

.....i przyszłaś ku mnie ciszą wyniosłych ołtarzy.
rozmodlonym skupieniem, drewnianych kościołów.
pastelową kaskadą tęczowych witraży,
polichromią sufitów — uśmiechem aniołów.

I wzięłaś w posiadanie mój smutek i żale,
cały ciężar tęsknoty, co nie ma swych granic,
wzloty bujnej młodości, ukochań korale,
wszystkie męki serdeczne, zawiłych tajemnic.

Jak królewna otwarłaś uczuć moich wrota,
by na kanwie porywów, błysnąć siłą gromów,
i przędziesz nić za nicią — skarbów proste wota,
złożyłem w ręce twoje, jak dotąd nikomu.

I wiem, że trud twych marzeń nie pójdzie na marne,
kwiaty wiosny nie zwiędną tęsknotą rozstania,
pozbieram łzy jak perły, do serca przygarnę,
bo ty jesteś kochaniem, mojego kochania.

Michał Wojciech Nalepka

przed domem, gdzie mieszkają Wichertowie. Ja na prawy róg... on na lewy... spotykaliśmy się akurat w środku, przy bramie, ocieraliśmy się o siebie i spode łba patrzyli... Byłem zły, że to może jakiś inny detektyw chleb mi odbiera... Ale potem było mi nawet raźniej, że nie jestem sam i pocieszałem się, że jeżeli on może na tej niesamowitej wichurze wytrzymać, to wytrwam i ja... Ja zadzierałem głowę w górę do okien kamienicy, on też podnosił głowę i coś tam wypatruje... Ja przystaję bacznie, bo ktoś wychodzi ze strzeżonej bramy, i on przystaje uważnie patrząc...

— Co? Ten młody człowiek? Wygląda na artystę, śpiewaka, poetę...

— Myślałem, że raczej aktor dramatyczny. Chodził po Alejach, jak błędny, oczy wpatrzone w gwiazdy, czy też światła w oknach... I powtarzał wciąż w kółko załamując ręce, aż trzeszczały stawy: „Ona mnie zdradza!... On jest u niej!... Znowu!... Ten drugi." — Śmieszny typ, co?

— Tak, śmieszny! Śmieszny, jak my wszyscy wmieszani w tą całą naiwną historię: Pani Wichertowa śpiąca spokojnie u siebie w mieszkaniu, a posądzona Bóg wie o co, ja bawiący się wesoło (pobłażliwie uśmiechnął się przy tych słowach sam do siebie) na górze, nieświadomy, jakie to na mnie rozstawiono sieci, Wichert oczekujący korzystnych dla siebie poszlak i pan marznący na dworze dla przyszłej, wymarzonej kariery i ten duch artystyczny wzdychający i złamany...

— Byłem na niego w pewnej chwili zły, jak pies: Okazało się, że i on, tak jak ja, czatował na jakieś przypadkowe, opatrznościowe otwarcie bramy, by się do niej dostać. Ktoś wychodził z domu, otworzyły się drzwi, lecimy do nich obydwaj z przeciwległych rogów chodnika. I, proszę pana, on był pierwszy. Powiedział do wychodzącego: „—och! dziękuję... właśnie szukałem klucza, żeby otworzyć... —" i bezceremonialnie wepchnął się do środka. Trudno. Nie mogłem pchać się za nim i z kolei wmawiać w otwierającego, że na przykład, zgubiłem właśnie klucz i nie mogę się dostać do własnego domu. Musiałem godzinę dłużej tkwić na zimnie, zanim brama drugi raz się otworzyła i mogłem, bąknąwszy coś tam niewyraźnie wychodzącemu, wedrzeć się wreszcie do zacisznego wnętrza domu. I wie pan? Spotkałem się tam znowu z tym dramatycznym typem. Siedział na schodach i płakał. Naprawdę. Wypłakiwał ze siebie przepastne ilości wypitego alkoholu i wszystkie krzywdy całego swego życia, włączywszy naturalnie i tę ostatnią, która dopiero co właśnie go spotkała i dopełniła kielicha goryczy: — „wyrzuciła jak psa!" — wykrzykiwał przez łzy „kazała iść precz... za moją wielką miłość..."

Ciąg dalszy nastąpi

Małżeństwo Sylwestra Kalafata

NAPISAŁ MILAN ŠENOA

Około czwartej po południu zaczęły bić dzwony. Smutne to jakieś dzwonienie. Przez całe popołudnie niebo się chmurzyło. Od Uczki przewijały się ciężkie ciemno-żółte chmury. Około południa schowała się ostatnia smuga jasnego nieba, a potem około godziny trzeciej zaczął bić piorun za piorunem, niebo złączyło się najpierw z Uczką, a następnie ciemno-sine morze zrównało się z barwą Uczki i wreszcie horyzont zupełnie znikł.

Zaczął lać deszcz, a jakiś nieprzyjemny wiatr południowy, co przygniata duszę i ciało, zaczął zaciągać w zatoki i zatoczki, smagając morze, po którym zaczęły sypać się miliardy kropli deszczu. O kamienne wybrzeża rozbijają się wielkie fale, obrębiając wszystkie te skaliste ściany białym pienistym rąbkiem.

I znowu zadzwonił mały dzwonek, deszcz zaczął mocniej padać, a pioruny znowu uderzać w morze, rozświetlając tę siną okolicę swoim czerwonawym światłem. Za każdym razem, gdy błyskawica wpadała w morze, tworzyło się tam zagłębienie, a morze zaiskrzyło się koło niego. Przed niektórymi zatoczkami morze zamąciło się od naniesionej czerwonej ziemi.

Tonica stanęła na progu domu i zapatrzyła się w mętną dal. Na całym Kvarnerze nie ma ni jednego żagla ni statku. Ile razy błysnęło, żegnała siebie i dzieciątko, które trzymała na rękach. Pioruny przyprawiły ją o silny strach, gdyż dom jej wznosi się na pół godziny drogi od morza, prawie na szczycie samego Kavranicza. Nad jej głową przewalają się chmury, nieprzyjemnie drżą na wietrze czerwone już liście winorośli i skrzypi powiązana figa.

Jakoś jej dzisiaj smutno i ponuro na duszy. Trzeci już rok idzie, jak przywykła do tej jakiejś bojaźni, od tak dawna męczą ją złowróżebne przeczucia, ale dzisiaj na tej niepogodzie jeszcze silniej chwyta ją strach. Jej opalona, ciemna twarz namarszczyła się, przygasłe oczy poglądają to na niebo, to na dziecię; wychudłe jej ciało odziane czarno, drży od wilgotnego chłodu, przenikającego powietrze. Ile się to zmieniło za te trzy lata, jaka to jeszcze zdrowa była przed trzema laty i silna jak drzewo osikowe! Kiedy bywało przypasała na swe plecy jaki ciężar, twarz jej czerwieniała zaraz, silne piersi zdawało się, że przebiją barwną suknię, a boki jakby były z kamiennej skały. Wówczas to ta dziewczyna o pełnych czerwonych policzkach i jasno-płowych włosach wyszła za Sylwestra Kalafata. Do tego czasu pełnił on ciężką służbę przy kotle parowym na pewnym wielkim oceanicznym parostatku. Na szczycie góry posiadał Sylwester ładny domek z kawałkiem ziemi, około której troskała się jego matka staruszka. Matka umarła, a Sylwester wróciwszy znowu razu jednego do Europy, ożenił się z Tonicą, wprowadził ją do swego domu, a po ośmiu dniach wyjechał znowu na morze. Taki tu jest zwyczaj. Ile to razy wraca marynarz po dwóch-trzech latach do domu, a tu go wita żona z dzieckiem, które już pierwsze słowa paple.

Upłynęły trzy lata od ożenku Sylwestrowego, a on ciągle nie wraca; minęło już pół roku, jak nie ma żadnej wieści od niego. Są i tacy, którzy opuścili żonę i dziecko i osiedliwszy się w Nowym Świecie, nie dają więcej wiadomości o sobie.

Dzień za dniem męczyły biedną kobietę te same myśli, ten sam lęk. Czekała bezustanku, nie spragniona, aby znowu ujrzeć swego męża, lecz ze strachem, jak on ją ukarze. Och, żeby tych lat nie było, żeby je to można było wymazać z jej życia! Zawsze z tych myśli budził ją drobny płacz owego dziecka w pieluchach. Wtedy znowu przypominała sobie ową straszną niedzielę. Minął właśnie rok, jak po raz pierwszy jako matka przyszła do kościoła. Uklękła całkiem w tyle pod owymi wotywnymi obrazami marynarskimi i z załzawionymi oczyma poczęła się modlić do Boga. Na przodzie w ławach siedziały i klęczały staruszki, które tylko ośm dni były żonami, a od dwudziestu pięciu i trzydziestu lat są wdowami. Kości ich małżonków leżą gdzieś u progów Morza Czarnego lub pod białymi skałami Anglii. Wychodząc, dziwiły się te kobiety, jak Tonica w ogóle mogła mieć czelność przyjść do świątyni pańskiej. Jak ciężkie uderzenia padały na jej głowę szyderstwa i klątwy, gdy wychodziła z kościoła. Pluły na nią.

— Do wszystkich należała ta poczciwa żoneczka . . .

— Chowa w domu żywe świadectwo swojej cnotliwości...

Tak mówiły te stare kobiety.

Kiedy razu jednego wnet potem zjawiła się we wsi, zaczęły dzieci za nią wołać, a gdziekolwiek przyszła, nazywano ją „cnotliwą Tonicą". Przepędzali ją, jak gdyby była jakim zwierzem, albo jak gdyby była zarażona jaką zaraźliwą chorobą. Nie odważyła się więcej schodzić do wsi, tylko upraszała czasem swego biednego sąsiada Kirca Franka, by jej przyniósł to czy owo. Dużo się modliła i kajała się. Skoro jej nie dali, by się modliła w świątyni pańskiej, modliła się na cmentarzu — na Kalwarii w tym wiecznym spokoju, „co sięga do nieba". Zapadły się jej oczy od płaczu, uwiędły piersi od pokutniczego bicia się w piersi, skurczyła się cała w sobie jak drzewko na burzy. Były to dla niej ciężkie, męczeńskie dni. A jakie straszne myśli nachodziły ją! Kiedy już pół roku minęło, jak nie otrzymała żadnej wiadomości od swego Sylwestra, zamyśliła się głęboko pewnego wieczoru. Co ją czeka? Jeżeli jej Sylwester był w jakiej katastrofie i z woli bożej gdzieś zginął, to co ona pocznie? Zostanie na wieki taka opuszczona, wygnana, ścigana jak wściekły pies. A jeśli on powróci, to co wtedy będzie? Dobrzy są wszyscy ci ludzie, ale bez zmiłowania. I on też jest taki. A ona rzeczywiście cierpiała już na tym świecie za swój grzech.

Z daleka odezwały się jeszcze grzmoty, ukazała się błyskawica. Niebo posiniało, a deszcz powoli ustaje.

Wtem tuż w pobliżu ukazał się Kirac Franko. Poczciwina! On jedyny lubi Tonicę. Broni ją od pierwszego dnia, on jej dopomaga, bo widzi codziennie, co ona się nacierpi i jak się modli do Boga. W mieście mówią, że jest głupi, bo razu jednego spadł z drabiny i długo chorował. Ale u niego taka dobra dusza, ma więcej serca, niżby kto pomyślał. Nakrywszy głowę i plecy połową zwyczajnego worka, który poskładał na kształt kapuzy, powoli wspina się teraz wypłukaną ścieżyną, zadzierając się o suche ciernie krzaków agrestowych lub o modre kwiaty geranium.

— Bóg z wami, Tonico, — rzecze, zbliżywszy się do jej domu.

— I z wami, dziadku Franko!

— Byłem dziś w Rijece, teraz wróciłem statkiem, — podjął dalej Franko, wstąpiwszy pod dach i zdejmując z głowy mokry worek.

— Dlaczego ten Franko dzisiaj taki poważny? — pomyślała Tonica, nie mówiąc ani słowa.

— Byłem w Rijece . . on wrócił, — zaczął znów Franko niezgrabnie, nie patrząc jej w oczy. Strach go było.

— Kto?

— On . . . Sylwester.

Biedna kobieta chwyciła się drzwi: wydało się jej, jakby leciała w przepaść. Zostawiła starca we drzwiach, a sama weszła do izby. Stało się więc to drugie. Wrócił. Co teraz będzie? Pchało ją coś, żeby dziecko ukryć gdzieś daleko, aby go już więcej nie było. Jeden jedyny raz, właśnie przed rokiem, napadła ją taka sama myśl — ale tylko na chwilę, bo matka okazała się silniejszą od żony. Pozbyła się wtedy szybko tej myśli, a potem uklękła przy kołysce, błagając to dziecię mimo woli o przebaczenie.

To był wielki grzech jej życia. Ten pierwszy grzech popełniła nieświadomie, niewiednie, ale to drugie piekło ją, gdyż z niej samej wyszło, gdy tam i inni byli też dużo winni.

Ukryć dziecko! Otrząsnęła się z tej strasznej myśli, włożyła dziecko do kołyski i zaczęła się modlić.

Na polu tłukły wiatry, powoli mroczyło się, a chmury poczęły się targać. Nawróciła burza. W mrocznej izbie siedzi Tonica wsparłszy twarz na załamanych rękach. Jakże jej ciężko na duszy! Jak gdyby skała leżała jej na piersiach. Wie, że wkrótce wszystko to się skończy — za kilka chwil — ale chwile te to wieczność. Przez głowę przemknęła jej myśl, aby porzucić dziecko i dom, wspiąć się na ów szczyt powyżej domu i rzucić się z tej skały w morze. Wyszła i zaczęła się wspinać. Jeszcze dziesięć kroków, a potem nie będzie już żadnego zmartwienia — potem już jej samej wcale nie będzie.

Pierwsze uderzenia świeżej burzy odezwały się z gór, a Tonica zatrzymała się. Opamiętało ją chłodne powietrze.

— Zgrzeszyłam, to będę cierpieć.

Wróciła potem spokojnie do izby, usiadła i obojętnie zaczęła czekać tej chwili. Stary amerykański zegar wybijał głębokim głosem szóstą godzinę, mała lampka oliwna pełgała pod obrazem Najświętszej Panny Trsackiej, szyby drżały od uderzeń burzy, liście winorośli silniej szeleściły nad progiem.

Odezwały się głosy z dołu, jak to zwykle burza unosi każdy dźwięk.

Tonica zadrżała, powstała i stanęła w progu.

— Tonico! Nie masz światła? — odezwał się chrapliwy głos starej jednookiej Nimfy, która stała u wejścia, niosąc ciężki kufer na plecach. Za nią stał jakiś człowiek, którego ciemny zarys było tylko widać.

— Tonico! — zawołał rozkładając ręce.

Drżąc cała, podeszła do niego i podała mu rękę, a on chwycił ją, przyciągnął ku sobie swoim silnym ramieniem marynarskim i zajęczał cicho:

— Moja Tonico!

Na moment poczuła, jak jej policzki zapłonęły ze wstydu, jak żywy ogień płynie jej w żyłach, a potem opuściły ją siły i opadła z płaczem w jego ramiona.

— Sylwku, dlaczegoś mnie porzucił!

Nimfa usiadła na kamiennym progu i sama uwolniła się od ciężkiego kufra.

Skrzynia uderzyła o podłogę, a dziecko obudziło się i poczęło płakać. Jednooka staruszka podbiegła do kołyski i zaczęła głaskać maleństwo swymi kościstymi palcami.

— Biedne moje maleństwo, obudziło się, obudziło? Czekaj, czekaj, wszystko będzie dobrze. Słuchaj Tonico, głodne jest, daj mu piersi, niech sobie poje.

— Dziecko? — spytał Sylwester wyprostowawszy się. — Czyje dziecko?

Obie kobiety zamilkły. Tonicę opuszczały już ostatki sił. Chwila jeszcze, a padnie przed nim i będzie go błagać. Owej staruszce błysnęło przy drobnym światełku lampki oliwnej owo jedno oko złowrożebnym blaskiem. Bardzo ją ciekawiła ta historia, bo i jej samej wydarzyło się coś podobnego; co prawda było to już bardzo dawno. Jej Kornelio wybił jej wtedy prawe oko i wyrzucił ją z domu.

— Czyje to dziecko? — spytał silniejszym głosem Sylwester, wyciągnąwszy rękę w stronę kołyski, w której dziecko ciągle dalej płakało.

— Moje — szepnęła Tonica całkiem cicho, podniósłszy ręce do twarzy. Nimfa zapaliła świecę od lampki, aby lepiej widzieć całą scenę.

— Twoje? Gdzie . . ., skąd . . ., ty, ty . . ., żeby cię . . .

Sylwester uderzył ręką w powietrze, lecz nie dosięgnął Tonicy. Przycisnął obie ręce do oczu i począł gorzko płakać.

Nimfa przybliżyła się cicho ku młodej kobiecie i szepnęła jej półgłosem:

— Stracił wzrok od żółtej febry w Brazylii. Ślepy jest.

— Ślepy! — krzyknęła biedna kobieta i z rozpaczą rzuciła się mężowi na szyję. Minął ją teraz strach, zapomniała w tej chwili nawet i o dziecku, widząc nieszczęście swego męża.

— Co mam zrobić z tobą? Powiedz! — odezwał się suchym głosem Sylwester, opuściwszy ręce spokojnie. — Co mam zrobić? Mam cię wypędzić? Nie, ja cię potrzebuję — — — jestem ślepy, ślepy na zawsze.

Macając rękoma, znalazł stołek i usiadł.

— Ot, tak będziemy teraz żyć.

Nimfa wysunęła się powoli z izby przed dom. Stał tu Franko, drżąc cały ze strachu na myśl, co się to może zdarzyć.

— Ej, dziadku Franko, — zaczęła Nimfa — ze mną było gorzej. Mój łotr Kornelio miał oba oczy, dlatego ja straciłam jedno.

— Idziesz, stara bestio! Należałoby ci wyrwać ten twój język.

— Adio, conte Franolino, dobrze ci, kiedy sąsiad ślepy.

Franko rzucił kamieniem za starą, która wśród burzy zniknęła w ciemności jak nocna zmora.

Chmury rozeszły się — w wilgotnym powietrzu drgały z rzadka gwiazdy, a Tonica spowiadała się ślepcowi ze swego grzechu.

Z chorwackiego przełożył Wiktor Podmajerski

ROZMAITOŚCI

„OGRÓDEK" DZIECIĘCY

W uniwersyteckim mieście Coimbra, w Portugalii, istnieje celowo wybudowana wioska dla dzieci uboższych warstw, która służy do zabawy i nauki poglądowej. Każdy dom w tej



wiosce przedstawia styl budownictwa pewnej prowincji Portugalii. Także urządzenie wnętrz odpowiada charakterowi tych prowincyj. Ten „regionalny" ogródek dziecięcy oprócz geografii uczy także historii. Ulice bowiem i placyki wioski dziecięcej noszą nazwy wybitnych mężów z dziejów Portugalii. Mają tutaj dzieci także miniaturowe, lecz dostosowane do możliwości dzieci, gospodarstwo wiejskie, młyn i kopalnię.

OLBRZYM I KARLICZKA

Ten Finlandczyk liczący sobie wysokości 2 metry i 51 cm nie jest zjawiskiem często spotykanym. Dla podkreślenia swojego wzrostu obrał sobie na partnerkę do zdjęć kar-



liczkę. Ta para przyjaciół uzupełnia się nawzajem. Rozrzutność natury w stosunku do olbrzyma wyrównuje skąpstwo co do rozmiarów przyjaciółki. Rozrzutność i oszczędność! Można to powiedzieć nie tylko o ich wzroście, ale i o zużyciu materiału na ubranie.

AUTOGRAFY NA PŁASZCZU

Pewna młoda dama z kopenhaskiego towarzystwa sporządziła sobie specjalny płaszcz deszczowy, który w tym mieście o dużej ilości opadów jest strojem nieomal codziennym. Nie krój jednak ani materiał stanowi o ekscentryczności. Niecodziennym zjawiskiem jest to, że cały płaszcz i czapeczka pokryte są autografami przyjaciół i znajomych. Szczególnie mile widziani przez właścicielkę płaszcza są rysownicy. Dla trwałości autografów są one uskuteczniane za pomocą tuszu. Ekscentryczna Dunka może być pewna, że jej płaszcz jest jedynym okazem na całej kuli ziemskiej.



STARORZYMSKIE LEKTYKI W INDIACH

W ten sposób, przypominający nam czasy Nerona, transportuje się dzisiaj jeszcze chorych w Indiach. Ten „pojazd" Towarzystwa Ratunkowego Indyjskiego, jak moglibyśmy go nazwać, był zapewne w użyciu dobre parę setek lat i pełni jeszcze służbę w wieku samolotów i radia.



WSZYSTKO DLA . . . TULIPANÓW

W 1550 roku pojawił się pierwszy tulipan w Europie. Poseł Ferdynanda I. przewiózł go do Konstantynopola.

Ale dopiero w 100 lat później zaczęto sadzić w Holandii pierwsze tulipany. W Harlem, głównym centrum hodowli tulipanów płacono w latach 1634—40 za jedną cebulkę tulipanową około 13.000 guldenów. Była to oczywiście olbrzymia suma. Dopiero rząd wmieszał się do tego i ustanowił cenę 50 guldenów za cebulkę, nakładając wysokie kary pieniężne na tych, którzy żądaliby więcej poza wyznaczoną cenę.

W ten sposób cena tulipanów znacznie się zmniejszyła i unormowała, a tym samym hodowla ich szybko rozpowszechniła.

ZE SCEN KRAKOWA I WARSZAWY

„DOM OTWARTY"

Komedia w 3 aktach M. Bałuckiego na scenie Krakowskiego Teatru Powszechnego.

„Dom otwarty" — to sztuka wyraźnie przestarzała. A sąd podobny o niej, już przed czterdziestu laty, wyrażała krytyka teatralna, zaliczając ją już wtedy do przeżytków scenicznych.

Jak we wszystkich nieomal sztukach Bałuckiego, tak i tu, ciężar faktury spoczywa na lokalnym kolorycie, na charakterystyce **środowiska mieszczańskiego,** na drobiazgowym odbiciu jego obyczajów, z wybitnym pierwiastkiem farsowym. Figury, uwypuklone na tym obyczajowym tle, mają o wiele więcej rysów i cech typowych niż indywidualnych.

„Dom otwarty" wyraziście znamionuje tę fazę twórczości Bałuckiego, w której on zdecydowanie kroczy po linii dekadencji; a powstał w czasie, kiedy wzrastający pesymizm autora coraz bardziej zamyka mu oczy na dodatnie strony życia, a z ludzi każe robić wyłącznie głupców. Autor patrzy na życie tylko z jednego punktu widzenia, jest typowym obserwatorem-karykaturzystą, widzi przy tym, jakby przez deformujące szkło, jedynie banalną powierzchnię życia, ściśle zewnętrzne, a zawsze dla niego komiczne, pozory.

To właśnie zadecydowało także o płytkości bohaterów Bałuckiego.

Ludzie jego są raczej marionetkami, uciesznymi figurkami, które nakręca autor ku zabawie gawiedzi. Oglądani na scenie rażą nas dziś swą szarzyzną życia, intelektualną pustką, ciasnotą pojęć, pospolitością i trywialnością.

Razem wzięci stanowią jakieś nieprawdopodobne zbiorowisko głupców. Sztuczne i monotonne błazeństwo tego środowiska razi tym więcej, że współcześnie przecież nie wszystko było tak naiwne, śmieszne i głupie, jakby się z jego sztuk wnioskować dało.

Treść sztuki, zastosowana do gustów najprzeciętniejszych, daje na scenie urywek krakowskiego życia mieszczańskiego sprzed 70 lat, okraszonego całym szeregiem „kawałów" i oblanego płytkim optymizmem. Roi się tu od konceptów, o których wykwintność można by się sprzeczać, zaś komizm sytuacyj i rysunek postaci utrzymane w tonie przejaskrawionym.

Pod względem ideowym sztuka ta nie przedstawia żadnej wartości, ma raczej znaczenie historyczne jako galeria współczesnych mieszczańskich typów.

Wartość literacka jest nikła i ustępuje miejsca walorom ściśle teatralnym. Jest tu wiele scen jedynie naszkicowanych jak w scenariuszu filmowym, stąd choćby minimalne powodzenie sztuki opiera się w stopniu znacznym na talentach aktorskich.

Kierownictwo artystyczne teatru obsadziło sztukę dobrze.

Jabłonowska w roli Pulcherii — wspaniała. Zdawało się nam, że nawet figura i gesty zostały jakby wycięte z lat osiemdziesiątych. Zresztą Jabłonowska jest mistrzynią w podpatrywaniu i odtwarzaniu typów charakterystycznych.



Więcławówna i Rydel w czułej scenie pierwszego aktu.

Również Stróżyńska, Topolska i Więcławówna wżyły się doskonale w powierzone im role.

Fujarkiewicz - Fabisiaka, Telesfor - Filusa i Wróbelkowski-Obidowicza, to figury bardzo dobrze zrobione. Przy czym podkreślamy na tym miejscu indywidualną grę młodego aktora Obidowicza, który — już poprzednio — zwrócił naszą uwagę kilkoma oryginalnymi interpretacjami epizodycznych ról. Należałoby mu powierzyć bardziej odpowiedzialną rolę, gdyż posiada on niewątpliwy talent i wiele pięknych zadatków na dobrego artystę.



Na lewo: Scena z trzeciego aktu komedii M. Bałuckiego pt. „Dom otwarty". Na zdjęciu: Stróżyńska i Jabłonowska.



Wspaniałe typy staromieszczańskich kawalerów w interpretacji: Obidowicza, Fabisiaka i Kurzawy. Fot.: Borek

Senowski, Kassowski, Rydel i Miciński — opracowali swoje role starannie.

Kondrat podał sylwetkę Fikalskiego przeszarżowaną i zaniedbaną, z usiłowanym nabieraniem publiczności na znane i oklepane „sztuczki kondratowe".

W pozostałych rolach: Wnękówna, Tylczyńska, Jüttner, Filipkówna, Rubczak, Załucki, Kuczyński, Czopek, Kurzawa i Lipka.

Paliwoda-Matiolański.



Ceniona trójka artystów krakowskich: Fr. Platówna — sopran dramatyczny, A. Wolak — baryton i J. Gaczek — pianista; — wyróżnili się ostatnio wspaniałymi koncertami w Krakowie i na prowincji, przeznaczając czysty dochód na cele polskich organizacyj charytatywnych.

TEATRALIA WARSZAWSKIE

Z inicjatywy Stefana Bystrzyńskiego zorganizowany został w teatrze „Nowości" w Warszawie cykl niedzielnych poranków sztuki G. Zapolskiej „Kobieta bez skazy".

Zapolska należy do rzędu tych pisarzy scenicznych, u których poruszany problem jest wiecznie żywy i aktualny. Rzecz dzieje się we Lwowie, ale gdyby ją nawet przetransportować na obcy grunt byłaby nie mniej ciekawa i zrozumiała niż dla nas. Nic więc dziwnego, że sztuka cieszy się dużym powodzeniem zwłaszcza u prawdziwych znawców sztuki.

Obsadę stanowią przeważnie siły młode.

Rolę tytułową zagrała bardzo mocno i przekonywująco doskonała aktorka dramatyczna Hanka Chodakowska mając wspaniałą partnerkę w osobie M. Gołaszewskiej (Fila). Dobra była również H. Ochalska jako panna uświadomiona. Ciężką rolę do zagrania miał J. Liedtke (Halski) — kulturalny ten aktor wypadł jednak bez zarzutu. Zadebiutował tu także, w roli Kaswina, młody i utalentowany S. Strzałkowski, któremu wróżyć można dobrą przyszłość. W roli agenta zobaczyliśmy Wł. Fabisiaka, aktora pełnego wyrazu. Szkoda, że tak rzadko widzimy go na scenie. Resztę zgranego zespołu stanowili: St. Igar, J. Kalinowski, S. Łopuszańska, Z. Simon, L. Morozowicz, M. Winkler, B. Szymkowski i K. Stachera.

*

W okresie Świąt Wielkiejnocy teatr Misterium E. Stryckiego wystawił misterium religijne pt. Golgota. W tym dobrze wyreżyserowanym widowisku wyróżnili się grą: E. Strycki (w roli Jezusa), E. Dąbrowska (Magdalena), H. Jeleniewska (Tulia), St. Gajewska (służąca Noemi), Wł. Fabisiak (Piłat — wspaniała dykcja), J. Burakowski (Kaifasz), L. Józefowicz (Judasz).

Duży sukces śpiewaczy odniosła ostatnio młoda, utalentowana pieśniarka Hanka Chmurzyńska (na zdjęciu poniżej), którą po powrocie z tournée po prowincji zobaczymy na scenię teatru „Maska".

Z. Bakuła



Ilustrowany Kurier Polski — Krakau, Redakcja: ul. Piłsudskiego 19 tel. 213-93 — Wydawnictwo: Wielopole 1 tel. 135-60 — Pocztowe Konto Czekowe: Warschau Nr. 900

ŚWIAT SIĘ ŚMIEJE



Mąż: — Patrz! Właśnie odjeżdża nasz pociąg! Mówiłem przecież że się spóźnimy przez twoje guzdranie się z ubieraniem!
Żona: — A złość się i kłóć ze mną jeszcze teraz, to przeoczymy także i następny pociąg. Rys. Gebürsch

Pan Wojciech się skarży przed kolegą, że nigdzie w domu ukryć pieniędzy nie może, bo żona zaraz je znajdzie. Kolega uśmiecha się:

— Mnie się to nigdy nie zdarza. Jak ja pieniądze w domu schowam, to moja żona nigdy ich nie znajdzie.

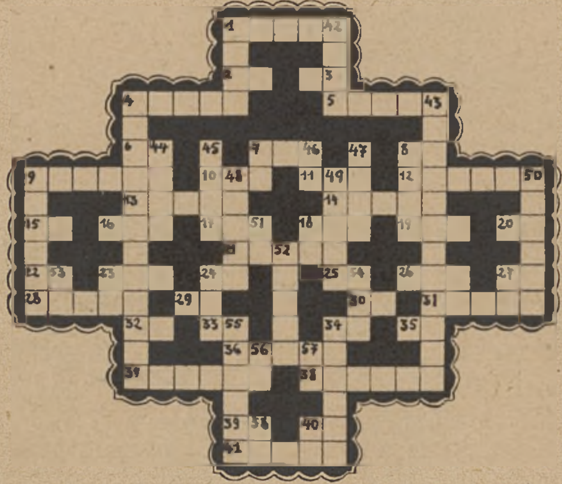
— A gdzie ty chowasz swe pieniądze? — zapytuje zaciekawiony pan Wojciech.

— W koszyczku, w którym żona trzyma moje skarpetki do cerowania.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

KRZYŻÓWKA

Ul. J. Stefański z Koropca



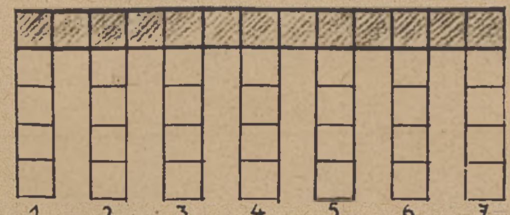
Znaczenie wyrazów:

Poziomo: 1. Związek wapnia. 2. Jednostka oporu elektrycznego. 3. Kochanka Zeusa. 4. Olbrzym. 5. Genialny poeta włoski. 6. Zaimek. 7. Roślina jadalna. 8. Dwie różne spółgłoski. 9. Miasto bibljne. 10. „Kocham", w języku martwym. 11. Restauracja. 12. Wóz starożytny o czterokonnym zaprzęgu. 13. Najbliższa człowiekowi istota. 14. Sławny filozof rzymski (wspak). 15. Miara powierzchni. 16. Wąwóz. 17. Imię męskie. 18. Cząsteczki zawierające ładunek elektryczny. 19. Żarzy się. 20. Zaimek. 21. Imię męskie. 22. Przysłówek (wspak). 23. Ptak. 24. Karta (wspak). 25. Spółgłoska fonetycznie (wspak). 26. Miejscowość we Francji, sławna z czasów wojny światowej (1914—1918). 27. „Do" w języku martwym. 28. Schronisko dla pojazdów mechanicznych (wspak). 29. Spółgłoska fonetycznie. 30. „W" w języku martwym. 31. „Precz" w jęz. martwym (wspak). 32. Bóstwo Egiptu. 33. Zaimek (wspak). 34. Zaimek (wspak). 35. „Tak" w języku obcym (wspak). 36. Narodziny dnia. 37. Roślina jadalna. 38. Zawiłości. 39. Symbol chemiczny. 40. Przysłówek. 41. Święta księga Mahometan (wspak).

Pionowo: 1. Część użytkowa niektórych traw. 42. Dawka (wspak). 4. Miejsce widowiskowe. 43. Dzieło Diderota. 44. Pies myśliwski. 45. Bokobrody. 7. Rzeka w Rosji (wspak). 46. Dwie jednakowe spółgłoski. 47. Krzesło królewskie. 8. Osoba pierwszego stopnia pokrewieństwa. 9. Zwierzę afrykańskie (wspak). 48. Imię żeńskie. 49. Miejsce wypływu prądu elektrycznego. 50. Jeden ze stanów U. S. A. 51. Dwie różne samogłoski. 18. Dwie jednakowe samogłoski. 52. Kobiece nakrycie głowy. 53. Wykrzyknik. 23. Spółgłoska fonetycznie. 24. Stan fizjologiczny. 54. Uszczelniająca masa. 27. Słowa pożegnania (wspak). 55. Miasto we Francji. 34. Zew. 56. Dwie jednakowe samogłoski. 57. Zaimek w języku martwym. 58. Symbol chemiczny. 40. Przysłówek.

ZAGADKA GRZEBIENIOWA

Uł. As.



Kwadraty kolumn pionowych należy wypełnić poczynając od góry literami tworzącymi słowa o następującym znaczeniu:

1. ranga wojskowa,
2. inaczej kaszkiet, czapka wojskowa,
3. załącznik, dodatek,
4. znana potrawa,
5. roślina zwana zielonym nawozem,
6. instrument muzyczny,
7. imię żeńskie.

Wiersz poziomy należy uzupełnić stosownie dobranymi literami, tak by otrzymać imię i nazwisko polskiego pisarza i dramaturga, żyjącego z końcem XIX w.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Z NR. 15

Znaczenie wyrazów:

Pionowo: 1. Ido, 2. As, 3. Re, 4. Ost, 8. sum, 9. Aar, 12. zew, 13. Ij, 15. Ełk, 16. aj, 17. Rh.

Poziomo: 1. Ina, 3. ego, 5. sir, 7. om, 9. ta, 10. n, o, 11. ka,, 14. re, 16. Air, 18. wuj, 19. hak.

Pewien jegomość zorientował się dopiero na dworcu, że zostawił swój kufer podróżny w pokoju hotelowym. Wraca więc do hotelu i podchodzi do portiera.

— Zapomniałem mego kufra — powiada do niego.

— Kufer pana stoi jeszcze w pokoju, ale niestety ten pokój już wynajęliśmy.

— To nic nie szkodzi, pójdę zaraz na górę i odbiorę mą własność.

I komiwojażer ten podążył szybko na piętro i przystanął przed drzwiami swego dawnego pokoju. Do uszu jego dobiegły słowa rozmowy:

— A do kogo należy ta śliczna maleńka rączka?

— Do twej Maniusi, koteczku.

— Czyje jest to czarniutkie figlarne oczko?

— Twojej Maniusi, koteczku.

— Ej, a czyje są te słodkie, kochane usteczka?

— Twojej Maniusi, koteczku.

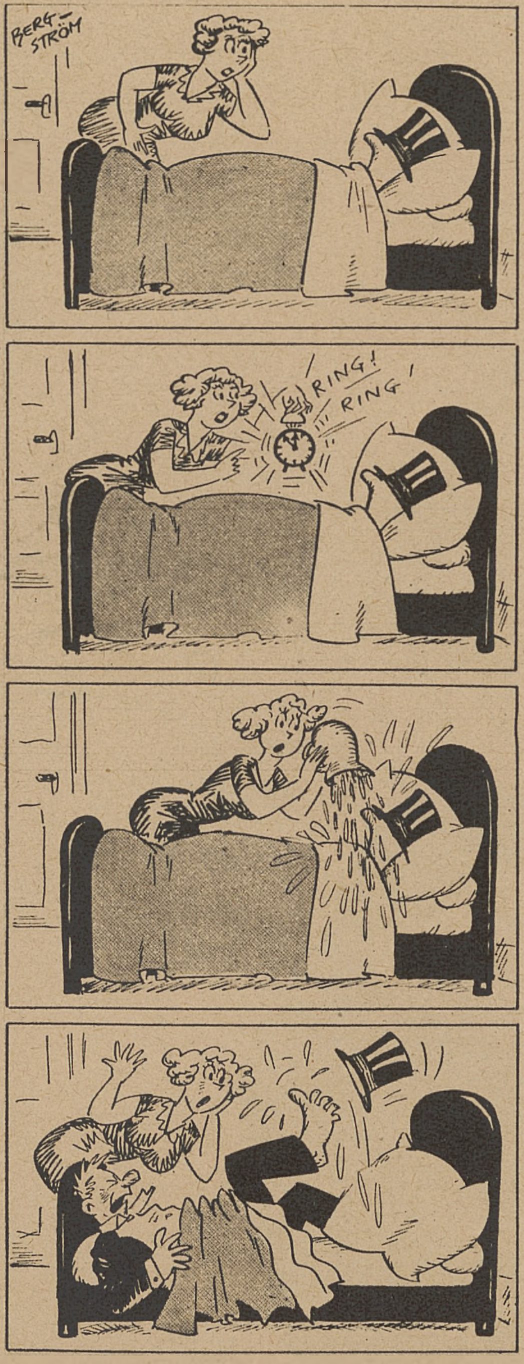
W tym momencie człowiek stojący pod drzwiami zapukał i zawołał:

— Jeżeli pan dojdzie do tego wielkiego kufra, który stoi koło łóżka, panie koteczku, to uprzedzając pana pytanie, oświadczam, że kufer ten jest moją własnością.

*

ZROZUMIAŁ —

Mówię raz do synka: — Zobacz-no mój drogi
Czy też rzeźnik w jatce ma cielęce nogi.
Nie czekałem długo, wrócił (bestia kuta)
Nie mogłem zobaczyć — rzekł — bo był w butach!



NIESPODZIANKA

Söndagsnisse-Strix — Szwecja

— Proszę pudełko papierosów — mówi kupujący.

— Z ustnikiem, czy bez?

— Z ustnikiem i bez.

— Jakto ja mam rozumieć?

— Ano z jednej strony z ustnikiem, a z drugiej bez ustnika.

*

Pan Lampczyński spotkał się ze swoim przyjacielem panem Kurczyńskim po kilkunastu latach. Witając się serdecznie z przyjacielem, który dawniej słynął z pięknej czupryny, ze zdziwieniem zawołał:

— Ferdek! Na Boga! — cóżeś ty tak wyłysiał?!

Ale Kurczyński nieco zawstydzony wykrzyknikiem przyjaciela, spokojnie odpowiedział:

— A tak, głupie głowy nie łysieją!

Nie w ciemię bity Lampczyński zawołał:

— Właśnie! Właśnie, dlatego się tak dziwię, że wyłysiałeś!

*

Sędzia: — Czy świadek przysięgał już kiedy?

Świadek: — Przysięgałem.

Sędzia: — Proszę sobie przypomnieć kiedy?

Świadek po głębokim namyśle: — Jakiem się z moją żoną kochał...



ZAKOCHANY CZELADNIK RZEŹNICZY

— Do mego serca dodaję ci najdroższa jeszcze parę kości.

Das Illustrierte Blatt

— DO GÓRY NOGAMI —

— Oto ma podobizna z lat dawnych, gdym dzieckiem była —
Z tymi słowy wyblakłe zdjęcie żona mi wręczyła.
Spojrzawszy — usta otworzyłem ze zdumienia...
Jadziu! — rzekłem — to dziecko jest łyse, wcale włosów nie ma!
Ach, głuptasie — uśmiechnęła się żona zalotnie —
Przecież trzymasz fotografię odwrotnie! — p —

*

Pewien błazen skarżył się przed królem, że wielu dworzan obraził swymi żartami, czyniąc z nich śmiertelnych swych wrogów i kilku z nich zaprzysięgło mu zgubę. Król pocieszał go mówiąc:

— Ktoby cię zabił, mój kochany błaźnie — będzie w dziesięć minut po tym sam wisiał.

Na te słowa błazen roześmiał się i powiedział:

— Mój królu, byłoby dla mnie o wiele milszym, gdyby ten człowiek dziesięć minut przed dokonanym czynem zawisł na szubienicy.

*

Pyta Wojciech Bartłomieja: — Czy to prawda, że Franciszek nazwał mnie nicponiem i niedołęgą?

Bartłomiej: — Tak, prawda.

Wojciech: — A czemużeś tego na piśmie nie żądał?

Bartłomiej: — Na co? Przecie ja i bez tego mu uwierzyłem.

*

— Jak ci się podoba August?

— To bardzo miły i rozumny człowiek.

— A czy wiesz, że on źle mówił o tobie?

— Eh, co mnie może obchodzić zdanie takiego osła.

*

W lasach czeskich żył rozbójnik. W lecie gdy wiele osób przejeżdżało lub przechodziło przez las zdobywał zawsze znaczne kwoty pieniężne.

— Masz wprawdzie większe zarobki niż ja — powiedział raz do niego kolega — złodziej mieszkający w mieście — ale też za to musię się o wiele więcej natrudzić i nagonić po lesie.

Rozbójnik leśny potrząsnął głową.

— Bynajmniej nie przemęczam się. Cały dzień drzemię sobie najspokojniej leżąc w krzakach.

— A skąd wiesz w takim razie, że podróżni przechodzą przez las?

— Sami się do mnie zgłaszają.

— W jaki sposób?

— Niedaleko miejsca, gdzie sypiam, umieściłem tablicę z napisem: Tu wspaniałe echo!

*

— Z tym Rubensem to mnie oszukali. Obraz nabyty przeze mnie nie ma ani 40 lat.

— Przecież wiek nie odgrywa tu chyba żadnej roli, jeżeli to tylko jest prawdziwy Rubens.

KĄCIK KARYKATURZYSTY



ROZBITKI

— Panie, my tu umrzemy z głodu!

— Nie martw się pan, ja mam forsę.

Rys. Brykowicz — Kraków

Ludzie o 1000 twarzach

Artysta filmowy posiada nieco inną technikę charakteryzacji niż aktor na scenie; musi on przede wszystkim używać większej ilości szminki, gdyż światło reflektorów i bliskość kamery fotograficznej uwydatnia silniej jego rysy i odsłania o wiele intensywniej przed oczyma widza najmniejsze niedociągnięcia charakteryzacji niż zdolne jest to uczynić stosunkowo słabe światło kinkietów scenicznych. Nic dziwnego przeto, że zrobienie „maski" należy w świecie filmowym do specjalności wymagających wykształcenia fachowego i dużej sztuki; każda rola bowiem wymaga od aktora nowej twarzy.

Poniżej:
Eryka Dannhoff jako staruszka; na zdjęciu na prawo w roli młodej eleganckiej damy.







Na lewo:
Tak wygląda artystka filmowa Eryka Dannhoff w życiu prywatnym. Co „charakteryzator filmowy" potrafi z niej zrobić widzimy na zdjęciach zamieszczonych obok.



Fot: Scherl

Na lewo:
„Oczy pięknej kobiety..." Prawe jeszcze nieucharakteryzowane, lewe „spreparowane" już do zdjęć filmowych. Przyklejone długie rzęsy nadają spojrzeniu uduchowiony wyraz.

Poniżej:
Fryzjer i charakteryzator pracują równocześnie nad głową gwiazdy filmowej.



Na prawo:
Eliza Flickenschildt jedna z najlepszych aktorek charakterystycznych nowoczesnego filmu „bez maski."





Na lewo:
Przed nałożeniem szminki twarz musi być silnie natłuszczona. Następnie przy pomocy różnych barwnych kredek maluje się odpowiednio wszystkie części twarzy, a w szczególności oczy, nos i usta.

Na prawo:
Eliza Flickenschildt podczas charakteryzacji. Długie rzęsy i starannie dobrane odcienie barw koło oczu zmieniają jej spojrzenie; odpowiednio podkarminowanie warg nadaje twarzy całkiem odmienny wyraz. W ten sposób odpowiednio „zestawiona" suma szczegółów stwarza typ w zupełności odpowiadający charakterowi roli.

